

Kończyło się paliwo, a i my z żoną byliśmy głodni. Postanowiliśmy więc zatrzymać się, by coś przegryźć i napoić auto. Dojeżdżaliśmy właśnie do miasteczka, w którym bywałem jeszcze w gierkowskich czasach i mile to wspominam. Pamiętałem, że na rynku była niezła, jak na tamte czasy, knajpa o nazwie „Hawana”. Wiedziony nostalgią i ciekawością, zaproponowałem, żebyśmy jej poszukali.

Miasteczko wyglądało jak przed laty. Domy były szare, ulice dziurawe i tylko zamiast furmanek jeździły po nich auta. Wyjątek stanowił rynek, który był w remoncie. Poprawiano tynki, elewacje budynków malowano na cytrynowy kolor, a drzwi, ramy okien i rynny robiono na czarno. Ten zestaw kolorów wydawał mi się dziwaczny, ale podobno o gustach się nie dyskutuje. Budynek restauracji był obstawiony rusztowaniami i obawiałem się, że jest ona nieczynna. Na szczęście była otwarta. Zachowała nawet starą nazwę, tylko dawny różowy neon zastąpiło krzykliwe graffiti. Weszliśmy i wtedy poczułem się jak w tamtej Hawanie sprzed pięćdziesięciu lat, bo prawie wszystko w niej wyglądało jak wtedy. W sali było może z dziesięć stolików. Miały nogi z metalowych rurek i nakryte były zielonkawymi obrusami. Z podobnych rurek wykonane były krzesła, a ich siedzenia i oparcia pokrywała zielona derma. Trzy ściany restauracji były obite pod sufit miodową boazerią, na której fantazyjnie rozmieszczono kilka doniczek z paprotkami. Ścianę od strony rynku tworzyła zespawana z grubych kątowników krata, w którą wstawione były na kit duże szyby. Ta oknościana kończyła się nisko osadzonym parapetem z szarego lastriko, pod którym był kaloryfer w postaci żebrowanych rur. Na równie szarej posadzce stał w drewnianej donicy rozłożysty filodendron podtrzymywany w kilku miejscach przez drewniane podpórki. Obok stało jeszcze kilka donic z jakimiś palmopodobnymi roślinami. Cała ta dżungla miała pewnie podkreślać egzotykę lokalu, ale też uniemożliwiała przechodniom zagłębienie z chodnika do środka. Im dłużej się rozglądałem, tym bardziej czułem się jak dawniej. Może obrusy były inne, może rośliny przy oknie też, ale generalnie wszystko było po staremu. Inna była jedynie klientela. W tamtych czasach był to jedyny lokal w mieście, gdzie lano piwo i dlatego był zawsze gwarny. Teraz gości było niewielu. Przy stoliku w kącie siedziała przy kawie zapatrzona w siebie parka, a na drugim końcu sali sączyło piwo trzech facetów. Tylko oni przypominali nieco dawnych klientów, bo byli w stanie mocno wskazującym na spożycie.

Ledwie usiedliśmy, a już pojawił się przy nas kelner ubrany w czarne spodnie i białą marynarkę. Określenie „biała marynarka” jest mocno na wyrost. Była ona już bardzo pożółkła, a ślady po niedopranym plamach na rękawach i połach świadczyły o jej licznych bliskich spotkaniach z sosami i zupami. Nie była to też marynarka, lecz płócienne wdzianko bez podszewki z dużymi kieszeniami po bokach. Kelner był młody, puciołowaty i sprawiał wrażenie, jakby nasze przyjście bardzo go ucieszyło. Wyglądało na to, że byliśmy bardzo oczekiwanymi gośćmi, a on był gotów zrobić dla nas wszystko. Postawił na stoliku szklankę pełną papierowych serwetek i pojemniczek z przyprawami, a potem grzecznie i z wielką troską w głosie zapytał:

– Czy coś podać?

– Co tu można szybko zjeść? – odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

– Jest pieczeń i guliczna – wyrecytował garson. – Może być jeszcze schabowy, ale trzeba poczekać – dodał.

– Jak długo?

- Pół godziny? – odpowiedział niezdecydowanie.
- A pieczeń jest od ręki?
- Tak.
- To prosimy o dwie pieczenie.
- Dobrze – powiedział i rozpromieniony zniknął za kuchennymi drzwiami.

Po chwili wrócił i postawił na brzegu stolika tylko jeden talerz. Była na nim spora kupka tłuczonych, przyklepanych łyżką ziemniaków, także buraczków i ładny kawałek mięsa polany sosem. Wyglądało to nieźle.

- Niestety to już ostatnia pieczeń – powiedział z wielkim smutkiem w głosie. – Podać?
- Tak – zdecydowała żona.

Uradowany kelner porwał talerz i obiegłszy żonę z właściwej strony, postawił go przed nią.

– Życzę smacznego – wyrecytował, a potem utkwiał we mnie pełne wyczekiwania spojrzenie. Zmobilizowany w ten sposób, zapytałem:

- A co to jest ta guliczna?
- Nie wiem – odpowiedział szczerze kelner i rozpląnął się w uśmiechu.
- To niech się pan dowie – zaproponowałem.
- Dobrze – odpowiedział ochotczo i pobiegł do kuchni.

Wrócił prawie natychmiast i przyniósł talerz z tym tajemniczym daniem. Był to ciemny mięsny sos, z którego wystawała zgrabna piramidka ułożona z kopytek.

- To są kopytka w sosie? – upewniłem się.
- Nie wiem. Sprawdź – powiedział garson.

Po czym wziął widelec i zaczął nim sondować sos. Okazało się, że krył on dużo cieniutkich plasterków jasnego mięsa. Wyraźnie zadowolony z odkrycia kelner spojrzał na mnie, a ja uprzedzając jego pytanie, powiedziałem:

- Dobrze. Może być.

Talerz z guliczną podjechał przed mój nos, a używany do sondowania widelec został starannie wytarty serwetką i położony obok niego.

- Do tego jest jeszcze mizeria – powiedział garson. – Podać?

Skinąłem głową, a on zakręcił się na pięcie i zamiast do kuchni pobiegł w stronę okna. Wpadł między

drewniane donice, potknął się i upadając, uderzył w filodendron. Ten złamał się i przykrył kelnera kupą liści. Na odgłos rumoru wypadło z kuchni dwoje ludzi i pobiegło na pomoc nieszczęśnikowi.

W tymże momencie ja... obudziłem się. Bolała mnie głowa i było mi żal, że nie zdążyłem spróbować gulicznej.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Marian, dodano 04.02.2021 11:40

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.